Rok II. WE LWOWIE, dnia 15. marca 1893. Nr. 6.

PRZEGLĄD EMIGRACYJNY

DWUTYGODNIK EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

Wychodzi we Lwowie rok II. 1. i 15. każdego miesiąca.

Prenumerata z przesyłką wynosi:

	Roczna	Półroczna	Kwartalna
W monarchii austryacko-węgierskiej	4 złote reńskie	2 złr.	1 złr. 10 ct.
„ cesarstwie rosyjskiem	4 rubli srebr.	2 rs.	1 rs. 10 k.
„ „ niemieckiem i Brazylii	8 marek	4 mk.	2 m. 20 fn.
„ Francyi, krajach unii łacińskiej, Brazylii i Argentynie	10 franków	5 fr.	
„ Anglii	8 szylingów	4 szyl.	
„ Stanach Zjednoczonych	2 dolary	1 dol.	

Pod kopertą o 1/3 więcej.

Numer pojedyńczy 20 ct.

Redakcya i Administracya: Lwów Ossolińskich 11.

Prenumeratę przyjmują:

W Ameryce Północnej Kantor kolportacyjno-księgarski K. Sawicki Chicago Ill., 572 Noble ulica.

W Berlinie i Cesarstwie niemieckiem księgarnia Leopolda Ebera Berlin N. 0. (43) Neue Königstr. 53.

W Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.

W Krakowie księgarnie.

We Lwowie Administracya, Biuro dzienników (ul. Karola Ludwika 1 3) i księgarnie.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) za pierwszy raz 10 ct. w. a. za każdy następny raz po 5 ct. w. a.

Pod redakcyą Stanisława Kłobukowskiego.

Review of the Polish Emigration Austria, Lemberg.

Świadomość polska w IV. dzielnicy.

Coraz więcej mamy powodów przekonywać się o budzeniu się ducha narodowego w znacznym odłamie polskim północno amerykańskim. Z licznych głosów i czynów świadczących o tem, że to samo odrodzenie szybciej tam postępuje niż w „starym kraju“ przytaczamy nasamprzód ustępy artykułu „Zgody“ (organu Związku Narodowego polskiego w Stanach Zjednoczonych.) Ma on nagłówek **Pro domo sua**. Na samym początku autor jego nieprzychylnie się wyraża o wysokim dostojniku kościelnym polskim, który po dobno ofiarował 30.000 fr. na wykup niewolników i pisze dalej:

„Pod zaborem pruskim jest przeszło 3 miliony prawie takich jak w Afryce niewolników. Nie tak dawno jak na Szląsku ludzie z głodu umierali; obecnie jeszcze tysiące rodzin pozbawionych kawałka chleba napróżno błaga pomocy od wrogiego sobie rządu. W Galicyi, dzięki średniowiecznej ciemnocie między włościaństwem, na wypadek nieurodzajów — więzienia napełniają się kryminalistami. Czy to nie niewolnicy?

Tak, to... zbrodniarze! — Lecz co ich popchnęło do zbrodni? Czy chęć rabunku dla zysku? czy żądza rozkoszy? czy wreszcie pragnienie milionów? Nie. Do zbrodni popchnął ich głód. Zbrodnię im podyktował nieludzki, nieukształcony i nieumoralniony instynkt zwierzęcy.

Ojciec najuczciwszy, patrzący na konwulsyjne drgania głodnego swego dziecka, stał się zbrodniarzem, bo krew w nim zawrzała i duch się złamał na widok cierpiącej istoty, której dał życie. Czy to nie niewolnik?

Dziesiątki tysięcy wygnanych z pod zaboru pruskiego hartmanowskiem „ausrotten“, potrzebujących materyalnej pomocy dla wyżywienia ciała i duszy, czy to nie niewolnicy?

A wreszcie biedni Unici w Orenburskiej gubernii, na których my ciemni, głupi, a nawet podług niektórych zamerykanizowani i zmateryalizowani Polacy w Ameryce łożyliśmy wdowi grosz, bo oni z głodu i chłodu cierpią w niewoli prześladowania tyrana północy za wiarę?.. Coby powiedział rozsądny człowiek widzący matkę karmiącą obce dzieci, podczas gdy jej własne z głodu zamierają?....

Drugim podobnego rodzaju czynem, jest obiecane, czy też nawet już zebrane przez pewnego magnata polskiego w Galicyi półtora miliona franków na cele oświaty Polaków w Ameryce.

Objaw to, któremu trudno zarzucić braku szlachetnych pobudek i winniśmy go uznać z wdzięcznością za taki. Inna jest rzecz zupełnie, aby ofiarę tę przyjmować. Gdyby Galicya obfitowała w bogactwa przemysłu, sztuki i nauki, gdyby w Galicyi na polu filantropii było zrobione dotąd wszystko, co wymagania tegoczesne dotąd potrzebują, a u nas w Ameryce to pole leżało odłogiem, wtedy taką ofiarę przyjęlibyśmy z wielką wdzięcznością i chwycilibyśmy się jej deski ratunku. Lecz o ile nam się zdaje, to ta sama Galicya, która po trzydziestu latach własnej autonomii przypomniała sobie nas biedaków na obczyźnie, ma znacznie szersze pole do uprawy u siebie. My z wolą Boga i bez tej pomocy materyalnej nie zginiemy, ani się też nie zamerykanizujemy, czego najlepszym dowodem więcej rozbudzony duch patryotyczny między nami niż między ludem lub pewną partyą w Galicyi, która „straże pożarne“ zakładała.

Nie chcemy tu bynajmniej obrazić szlachetnych projektodawców lub ofiarodawców działających na naszą korzyść; lecz jeżeli oni zapragnęli poprawić nasze stosunki, podnieść oświatę u nas, to z pewnością nam samym o wiele większą przysługę uczynią, jeżeli fundusze te skierują na umoralnienie i podniesienie oświaty u ludu w Galicyi. Tam według ostatniej statystyki w samym Lwowie, stolicy, znajduje się 64 a w całym kraju 74 procent analfabetów. To jest zatrważający objaw! A o iluż to wypadkach głodowej śmierci nauczycieli ludu w Galicyi czytaliśmy w tamjejszych gazetach? W ilu wypadkach posyłaliśmy z Ameryki zapomogi naszym rodzicom cierpiącym niedostatek i nędzę z powodu braku oświaty? Statystyka pocztowa dawno już wykazała, ile pieniędzy od nas idzie do kraju; nie potrzebujemy więc powtarzać na tem miejscu odnośnych cyfr.

Jeżeli nam kraj rzeczywiście chce przyjść z pomocą, to daleko więcej dla nas zrobi, jeżeli zaprzestanie nam przysyłać ludzi nieumiejących czytać, ludzi bez poczucia swej narodowości, ludzi zapisujących się w portach przy lądowaniu

jako Austryacy, Niemcy lub Moskale, ludzi z którymi nasz kult musimy poczynać *ab ovo*.

Niech nam przyśle ludzi choćby z elementarnem wykształceniem, umoralnionych, z poczuciem swej narodowości i wypływających stąd obowiązków. Niechaj się znosi częściej z nami, solidaryzuje w interesach, zasila nasze biblioteki książkami (na co milionów nie potrzeba) a pomoże nam więcej w ten sposób niż zakładając u nas i dla nas szkoły pod swoim kierunkiem. Myśmy już z pieluch wyrośli i takiej nam pomocy nie potrzeba. Radę zdrową i pożyteczną przyjmiemy od kraju zawsze z wdzięcznością, a jeżeli się okaże tego potrzeba, to potrafimy i 3 miliony franków zebrać pośród siebie. Kraj zaś niech pieniądze zatrzyma czy to na podniesienie szkolnictwa, czy też przemysłu u siebie. My sobie damy radę. Za to, że kraj przysłał do nas delegata, jesteśmy mu wdzięczni, okazaliśmy tę wdzięczność Sz. Delegatowi prof. Dunikowskiemu; jeżeli kraj nadal będzie pamiętał, że istnieje tu czwarta dzielnica Polski, z którą znosić i solidaryzować się należy, której rady udzielać i zasięgać potrzeba, będziemy mu nierównie wdzięczniejsi a zasiew ten wyda tak dla nas jak i dla kraju pożądańsze owoce niż ofiary ubogiej Galicyi zamożniejszej Ameryce. Wiemy, że nasze stosunki, a szczególniej nasze szkolnictwo, mają jeszcze ogromne braki; lecz wiemy także, że braków takich w Galicyi jest jeszcze dosyć; a jeżeli kraj stara się pierwej poprawić złe nasze niż swoje, musimy mu odpowiedzieć, że każdy naprzód myśleć powinien „*pro domo sua*". To nam dyktuje rozum i serce, a nie chęć jakiegoś oportunizmu, jakby kto sądził.

Ciesząc się niezmiernie z patryotyzmu bijącego od każdego wyrazu w powyższym artykule nie uważamy, żeby było wskazanem uderzać na rodaka, o którym głucha wieść niesie, że podobno popełnił czyn filantropijny a nie żaden naganny. Milejby nam było żeby 30.000 fr. poszły na ulżenie biedzie polskiej niż afrykańskiej; świadczyłoby to o żywym patryotyzmie ofiarodawcy. Lecz w każdym razie lepiej jest, żeby coś zostało zaofiarowane na cel ogólno ludzki, niż żeby żadna bieda nie doznała ulgi z tego źródła.

Nie możemy się także zgodzić na zdanie, że Polacy w Stanach Zjednoczonych nie powinni przyjąć zapowiedzianych półtora miliona franków nawet pod postacyą podniesienia tamże szkolnictwa polskiego. Najpierw nie wiemy, czy suma ta pochodzi z dzielnicy polskiej okrzyczanej za najbiedniejszą tj. z Galicyi. Następnie przybywa ona pewnie od kogoś, który przejął się myślą przyczynienia się do wspaniałej budowy naszego pierwiastku za morzem i nie widzi możności lepszego użycia pieniędzy swych. Gdyby nie zapalenie się taką sprawą, ofiary może nie byłoby żadnej na jakibądź cel narodowy, a może półtora miliona poszłoby na wykup niewolnictwa afrykańskiego, na świętopietrze lub inny cel ogólno ludzki. Zresztą nie jestto suma tak bardzo znaczna w porównaniu do tej jaka jest potrzebna i zapewnienie, iż znajdzie się łatwo dwa razy tyle pieniędzy na szkolnictwo polskie w samej Ameryce, nie przedstawia obrazu dostatecznych środków dla dopięcia wielkiego celu; 3 miliony franków nawet wraz z 1½ miliona z Europy, to jest 4½ miliona franków, byłyby sumą wystarczającą może tylko w początkach. Znajdujemy, że półtora miliona mogłoby może być w Polsce równie dobrze użyte na różne ważne i święte cele: lecz użycie ich na podniesienie oświaty za morzem nie uważamy za stratę. One wrócą do „starego kraju" niezawodnie z lichwą; lecz nie podobna przewidzieć pod jaką postacyą powrót ten nastąpi. Niepodobna przewidzieć co milionowa masa ludu wykształconego zrobi dla sprawy polskiej w przyszłości, zupełnie teraz jeszcze nieznanej. Ofiarowanie tych półtora miliona nie może być z drugiej strony pojęte jako środek uchwycenia jakiegoś kierownictwa: zdarzyć się tu może coś podobnego jak z kozakiem. który uchwycił tatarzyna. Wcale jednak nie zaszkodzi, jeżeli rodacy w północnej Ameryce poczują się pobudzeni do większej ofiarności na cele szkolnictwa; wcale też nie zawadzi, jeżeli zobaczą, że zajęcie się nimi w „starym kraju" nie rozpoczyna się od wyciągania ręki do nich, choćby na środki kształcenia dla nich samych.

W głosie powyższym przytoczonym ze „Zgody", a daleko jeszcze wyraźniej w innych pismach, przebija pewne zaniepokojenie co do ostatecznych celów zajęcia się „starego kraju" koloniami naszemi zamorskiemi i wychodźctwem. Czy pod tem nie kryje się chęć narzucenia się i przewodniczenia? Nam się wydaje, że choćby nawet tak było, to same okoliczności oddalenia a przedewszystkiem budzącej się świadomości nie pozwoli na żadne wodzenie kogokolwiek w innym kierunku jak powszechnego dobra; przejdą zamiary tych, którzy najżywiej tem dobrem się przejmą i najrozumniej się wezmą do rzeczy. Nawet rozdwojenie panującej między dwiema wielkimi organizacyami polskiemi w Stanach Zjednoczonych i w łonie każdej z nich nie uważamy za dowód rozkładu, lecz raczej żywego temperamentu i bolesnego dostosowania się nowego żywiołu na ziemi nowej. Liczylibyśmy najwięcej na żywioł młody dostosowany lub już nawet zrodzony w Ameryce. Zdaje nam się on wyłaniać ponad istniejącemi organizacyami i najlepiej rozumieć konieczność zgody i oświaty; niewątpliwie on we wszystkich obozach rozumie doniosłość uzyskania biskupa rodaka dla narodu tak szczerze katolickiego jak polski i nie jest obojętnym na wielki przykład dany przez żywioł irlandzki. Posłuchajmy jeszcze jak ta młoda Polska już się tam odzywa. Są to dźwięki nowe dla naszego ogółu; jednak z nimi już powinnibyśmy się tu w starym kraju liczyć jak n. p. w przytoczonym powyżej głosem ze „Zgody". Na obchodzie 30 letniej rocznicy powstania styczniowego w Chicago padły następujące słowa:

„Polityka teraźniejsza w ziemiach dawnej Polski jest polityką wyczekiwania. Nie myśli naród o zbrojnem powstaniu wiedząc, iż ono tylko w razie szczególnie przyjaźnych okoliczności udaćby się mogło. Natomiast pracą organiczą podnoszenie ludu z ciemnoty, bratanie szlachty z potężnem już dzisiaj mieszczaństwem, ogólna oświata — oto polityka, jakiej się jął naród Polski w ciągu ostatnich lat dwudziestu. Praca to tem pożyteczniejsza, że nigdy straconą być nie może. . . . .

. . . . Kiedy więc ciało Polski spoczywa w przedługim letargu, Duch Polski żyje i czuwa i przygotowuje naród na chwilę obudzenia. . . . . My zaś tu w Ameryce mamy warunki rozwoju jakich w innych krajach napróżnoby nam szukać. . . . . .

. . . . Nowe prądy społeczne nas nie przestraszają: torują one drogę braterstwu ludów. . . . Żyjemy w stuleciu wyswobodzenia Grecyi, Węgier, Bułgaryi, Serbii. . . . i wśród

społeczeństwa, które sto lat temu zrobiło epokę w dziejach ludzkości, ustanawiając pierwsze rządy *przez lud i dla ludu.*

Z taką to historyą, w takiem otoczeniu, emigracya polska w Ameryce ma wielkie zadanie, rzekłbym: specyalną misyę narodową, której spełnienie zależy od nas samych. Stanowisko emigracyi polskiej w Ameryce porównałbym ze stanowiskiem syna szlachetnej lecz podupadłej rodziny, który nie mogąc znieść widoku łez i nieszczęścia, ucieka w dalekie zamorskie krainy, a tam, ciężką pracą dorobiwszy się fortuny, za kilka lat szle pomoc do domu i ratuje z upadku rodzinę!

Co w losach rodziny lat kilka stanowi — to w losach narodu pochłonie lat dziesiątki, mozolnej, bezustannej pracy. I taka to praca jest zadaniem emigracyi polskiej w Ameryce, której gdybyśmy się nie podjęli, bylibyśmy niezawodnie jako ów syn marnotrawny, co to strwoniwszy ojcowskie dostatki i dary Boskie, a poniewieran przez obcych, powraca wstydny w ramiona rodzica.

Jest nas tu dosyć. Krocie tysięcy ludzi swobodnych, ludzi dostatnich, ludzi pracowitych, zaprawdę to wielka potęga, która powinna wywrzeć wpływ wielki na sprawy tej biednej Ojczyzny, skąd wszyscyśmy wyszli. Lecz aby spełnić nasze posłannictwo godnie tej wielkiej naszej tu potęgi, musimy jasno wytknąć cel nasz, szeroką ku niemu wytyczyć drogę i, garniąc wszystkich rodaków miłością iście chrześcijańską, ramię do ramienia do wspólnej przystąpić pracy!....

Mniejsza o rozbrat, który w obecnej chwili panuje, a za lat kilka może ustanie; mniejsza o sprzeczki, które w dziejach narodu giną jak ginie kropla wody w morzu, mniejsza o rozterki, które nie więcej zaważą na szali czasu niż jedna chwilka wobec wieczności. Tych co dziś w nienawiści — zjednamy miłością; tych co niedowierzają — zyskamy oświatą; tych co się opierają — potęgą jedności olśnimy!

Pole dla pracy szeroko otwarte, lecz pole to braterstwa, wyrozumiałości, przebaczenia....

O pojednaniu wrogich obozów w obecnej chwili mowy być nie może. Co tylko bowiem złość ludzka, duma i nienawiść zdołały wymyśleć, to wymyślono, aby w narodzie polskim uczynić przepaść, którejby nawet „złoty mosty" nie mogły pokryć. Rozbrat dziś doszedł do punktu kulminacyjnego, lecz sam upadnie swoją wstrętnością; sam się zakończy siłą konieczności. Bo Bóg nie na to stworzył człowieka, aby nienawidził, lecz aby kochał! Prośby ani ustępstwa nic tu nie zdziałają. Lekarstwem jedynem jest czas i oświata!

Na skrzydłach czasu ulecą w niepamięć wszelkie urazy. Oświata zaś zjednoczy nas zbrata i podniesie. Ona — otwierając oczy, otworzy zarazem serca. Ona wzbudzi ufność i zasypie przepaść. Ona pokruszy łańcuchy niewoli! Oświata bowiem — to Matka Wolności.

Całe zadanie emigracyi polskiej w Ameryce zawarte jest w tem jednem słowie: Oświata! I tego zadania my się podjąć musimy, jeżeli mamy się uważać za Polaków. Do nas wołają cienie bohaterów, do nas bolają ostatnie westchnienia męczennika, do nas się zwraca nasza przyszłość cała, wołając: „Wy tam na ziemi Washingtona, wolni i dostatni, nie wyrzekajcie się swojej Ojczyzny. Podejmijcie się tej mozolnej lecz koniecznej pracy. Niech imię Polski zajaśnieje wkrótce przez Oświatę, tak, jak jaśniało niegdyś przez miecze Bolesławów Chrobrych i Janów Sobieskich".

Ze swego stanowiska, jako kolosalny odłam narodu Polskiego, winniśmy dążyć do wytworzenia tu w Ameryce olbrzymiej potęgi intellektualnej, połączonej silnie miłością Ojczyzny, a rozporządzającej bezgranicznymi prawie środkami; potęgi, któraby w danej chwili mogła ująć ster spraw polskich w swoje ręce, swą siłą przeważyć na szali politycznej i..... daj Boże sprowadzić *dzień trzeci.* Ów dzień o którym prorokowali najwięksi nasi wieszcze narodowi: Piotr Skarga i Adam Mickiewicz. Piotr Skarga w siedemnastem już stuleciu przewidział był upadek Polski, przewidział też jej odrodzenie. I swoje wspaniałe kazanie, pełne proroczego natchnienia, znane pod nazwą „Wezwanie do pokuty" kończy, stosując do *Polski* te słowa proroka Ozeasza: Bóg sam ożywi nas po dwu dniach, a dnia trzeciego zbudzi nas".

Takie głosy, jak powyżej przytoczone, odzywają się coraz częściej w prasie i na uroczystych obchodach narodowych, zwłaszcza od niezrównanych uroczystości święta narodowego 3. maja 1891 r. Słyszeć się one dają coraz głośniej i zdaje nam się dostrzegać coraz więcej górujący zapał generacyi młodej zrodzonej na gruncie amerykańskim lub dostosowanej do niego. Jestto gwarancya zachowania się odłamu narodowego dla ojczyzny; przedtem niepodobna było mieć tej pocieszającej pewności. Niepewność pod względem świadomości narodowej w dorosłej i dorastającej generacyi zdaje nam się coraz więcej znikać.

Pozostałość brazylijska*)

[Nad Iguassem. Jedyna miejscowość z możliwymi dla Polaków warunkami kolonizacyjnymi. Klimat, ziemia, komunikacye. Szereg kolonij polskich. Ich byt teraźniejszy. Możliwa przyszłość. Dlaczego kolonizacya chybiła i zawiodła? Losy 30 rodzin polskich, rzuconych na pobrzeża Amazonki w Manaus].

Nie każdemu, zapewne, wiadomo, że w Brazylii istnieje rzeka, która kiedyś, w przyszłości dalszej, stać się może równie dla nas swojską jak Warta lub Wieprz. Rzeką tą jest Iguass, lewy dopływ Parany, przebiegającej okolice, w których komisya kolonizacyjna założyła kilka osad polskich i ciągle osiedla samych tylko Polaków. Dziś mamy już nad brzegami Iguassu sześć kolonij polskich, które się ciągną szeregiem na prawym brzegu rzeki między Porto Amazonas i Porto Union, na przestrzeni około 180 wiorst, a posiadają wszystkie warunki, zapewniające naszym kolonistom byt dobry. Klimat okolic tych jest znacznie lepszy, niżli w innych miejscowościach Parany i Santa-Cantharyny i mało się różni od klimatu Włoch południowych lub Hiszpanii, z tym szczegółem udogodniającym, że w lecie nie bywa tu takich upałów, zima zaś jest łagodniejszą niż w Neapolu. Niezmierne lasy, ciągnące się nad rzeką, przechowują masę wilgoci i doskonale wpływają na klimat, moderują go i zabezpieczają kolonistę od posuch, które dają się we znaki mieszkańcom płaskowzgórza Curityby.

Niezmierna ilość strumieni przecina owe lasy w rozmaitych kierunkach tak, iż niepodobna znaleść tu okolicy, gdzie, zagłębiwszy się w las na jedną wiorstę, nie wypadłoby po razy kilka brnąć przez strumień. Grunt prawie wszędzie tłustogliniasty, łąki nad brzegami Iguassu wykarmićby mogły tysiące sztuk bydła. Płody stref południowych udają się tu równie dobrze jak i północnych. W kolonii Santa

*) Zob. Kraj Nr. 8. r 1893.

Barbara, obok żyta i pszenicy widzimy manjok i banany, obok kartofli i kapusty — ryż i kukurydzę. Kłosy zboża dochodzą nieznanej u nas wielkości.

Jednakże pomimo tego bogactwa natury i żyżności gruntu, kolonie nasze dotychczas jeszcze nie mogą się rozwijać o własnych siłach i potrzebują pomocy komisyi kolonizacyjnej, która dotychczas nie usamowolniła ich w drodze uwłaszczenia z pod opieki rządu. Urzędnicy brazylijscy, od chwili założenia tych kolonij, systematycznie okradają naszych chłopów podczas wypłat, a czynią to z bezczelnością na jaką zdobyć się można tylko tam, gdzie niema żadnego dozoru zwierzchniego. Dlatego bardzo rzadko zdarza się tu wypłata bez awantury. Byłem świadkiem jednego z takich zajść w San-Mateo, podczas wypłaty na początku ubiegłego roku. Urzędnicy chcieli okpić naszych Maćków i Bartków, zmuszając ich do podpisania papieru, którego nasi chłopi nie rozumieli, bo był napisany po portugalsku. Gdy się chłopi wzbraniali podpisać, przyszło do kłótni, która się zakończyła bójką: wszyscy urzędnicy komisyi kolonizacyjnej w San Mateo poturbowani zostali kijami. Najwięcej włościanom naszym dał się we znaki niejaki Maravalho, który przez rok cały był szefem kolonii Rio-dos-Patos i dopuszczał się niesłychanych nadużyć. Wypędzono go nareszcie ze służby, dzięki interwencyi p. Bogdanowa, jeneralnego konsula rosyjskiego w Rio de Janeiro. Za jego rządów wydawano w Rio-dos Patos na zasiew chłopom zaladwie po 2 litry zboża, gdyż cały prawie zapas pan szef sprzedał Curitybie na własny rachunek. Czyliż można się dziwić, że przy takich „porządkach“ kolonia po dwu latach istnienia nie jest jeszcze w stanie sama siebie wyżywić? Nie Brazylia temu winna, lecz stara plaga romańskiego świata: biurokracya, której haniebne nadużycia w zarodku zniszczyć mogą dzieło kolonizacyi.

W ogólności kolonista europejski, przybywający do Brazylii, powinien jak najmniej rachować na pomoc rządu. Rząd wymierza koloniście grunt, stawia mu chatę, żywi go dopóty, dopóki nie doczeka się własnego chleba. Czegoż chcecie więcej? Najlepiej byłoby dla naszych chłopów, gdyby emigrując do Brazylii, brali przykład z niemców: ci dzięki swej solidarności umieją się obyć bez pomocy brazylijczyków i ich ohydnej admininistracyi.

O emigrantach naszych do Brazylii rozpowszechnione jest przekonanie w Europie, że są to ludzie bez żadnych zasobów pieniężnych, że zaledwie dziesiąty miał cośkolwiek, gdy siadał na okręt... „w Brymie“. Tak źle nie było i nie jest. Wśród chłopów naszych znajduje się znaczna część gospodarzy, którym nie źle się działo i we własnym kraju; przybyli oni do Brazylii ze znacznym zasobem pieniężnym, wynoszącym niekiedy od 1 000 do 2 000 marek niemieckich. Chłopi, wynosząc się do Brazylii, sprzedali swe grunty i inwentarz, spieniężyli ruchomości a droga do Brazylii i życie w emigranckich domach — nic ich nie kosztowało. Dlatego między kolonistami w San-Mateo i Rio-Negro wielu jest takich, co posiadając trochę pieniędzy, łatwo obyć by się mogli bez pomocy rządu, gdyby na wzór niemców, umieli wiązać się w spółki zakupujące zboże na zasiew, bydło i narzędzia rolnicze.

W ostatnich czasach kolonia w San-Mateo zaczęła wzrastać i dziś już liczy 2.700 mieszkańców. Połowa chłopów może się sama wyżywić i sprowadza z Europy swe żony i dzieci. W kolonii jest szkółka dla dzieci i ochronka dla sierot, z nauką rzemiosł. Ochronka powstała dzięki staraniom naszego ziomka, p. Dublasiewicza, a rozwija się pomyślnie. Dotychczas los dzieci-sierot w Brazylii był bardzo smutny: część ich włóczyła się po Brazylii żebrząc, resztę oddała komisya właścicielowi fabryki w Pau-Grande, gdzie ich od lat najmłodszych używają do robót rujnujących zdrowie.

W koloniach do opieki nad sierotami polskiemi nie mało się przyczynili murzyni i karbukle (*carbuclos*—skwatery brazylijscy), biorąc z nich wielu do swych domów i usynawiając. Nieraz w głębi lasu zdarzyło się mi widzieć po chatach murzyńskich i mulackich białą dziatwę o typowych polskich rysach, otoczoną gromadą czarnych, jak smoła dzieci gospodarza. Gdym zapytywał: zkąd to? odpowiadano po koloniście, który zmarł w baraku emigracyjnym.

W miarę rozwijania się kolonizacyi, San-Mateo zabodowuje się i rozszerza. Jest tam dzisiaj cegielnia p. Dublasiewicza, tartak, należący do jednego chłopa-poznańczyka i garbarnia niemiecka. Okrom tego są 4 sklepy, z których 2 należą do Polaków. Chłopi zadowoleni są z gruntów i opowiadają bajeczne historye o urodzajności gleby dziewiczej Ale są i kłopoty. Najwięksi nieprzyjaciele rolnika — to mrówki i robactwo. Roi się to kupami całemi w górnej warstwie ziemi, między korzeniami roślin. Żeby się od nich zabezpieczyć, kolonista, kopiąc rydlem ziemię, przewraca ją na drugą stronę wypala i popiołem użyźnia. Ryżu Polacy nie sieją, jeszcze się nienauczyli sztucznej irrygacyi; w okolicach Curityby kilku szlązaków, za przykładem włochów, zasiało trochę ryżu i doczekało się obfitych plonów. Wycinanie lasów jest o wiele trudniejsze niż w Europie, gdyż drzewa tutejsze są twarde i wilgotne. Lasy składają się przeważnie z tak zwanych „pinierów“ *(pinus araucana)* z cedrów i imbui. Ostatnie odznacza się wielką twardością i nie gnije od wilgoci, jak nasz modrzew; dlatego w koloniach polskich, ilekroć buduje się chata, fundamenty do niej wznoszą się pospolicie z pni imbui i, jak zapewniają, są nadzwyczaj trwałe.

Brak środków komunikacyi należy do głównych przyczyn, dla których kolonizacya w Brazylii postępuje bardzo powoli. W Stanach Zjednoczonych, gdy się zakłada kolonja to najpierw sypie się drogę, a potem dopiero drogą tą wyprawia się partję kolonistów. W Brazylii dzieje się naodwrót. Są ogromne kolonie po 3 000 ludności zupełnie odcięte od świata. Co do kolonij nad brzegami Iguassu, mają one tę przewagę nad innemi, że komunikacya jest tu łatwiejszą. Trzy parowce utrzymują ciągłe lubo nieregularne stosunki między koloniami polskiemi a Porto-Amazonas; w Porto jest szosa, prowadząca do Curityby.

Jaka przyszłość czeka te biedne nasze kolonie? Curityba wzrasta z dniem każdym i dziś już liczy około 50.000 mieszkańców; sąsiednie kolonie polskie i dziś już zaledwie wykarmić zdołają jej ludność, cena zaś na produkty jest bardzo wysoką: kilogram chleba kosztuje 500 rejsów (milrejs, t. j. 1.000 rejsów = 2½ fran.), funt kartofli (bo je tu sprzedaja na funty) 160 rejsów. Konkurencyi żadnej. Niedawno rozpoczęto budowę kolei żelaznej, która pójdzie od Curityby około Porto-Amazonas, Rio-Claro i dalej na zachód do granicy Argentyny. Gdy się z czasem ożywi handel, skutkiem rozwoju środków komunikacyjnych, kto wie, może brzegi Iguassu staną się spichrzem całej Brazylii, która wówczas nie będzie — jak dziś — potrzebowała sprowadzać pszenicy z Argentyny, a kartofli z Europy.

Zdaje się, że sami Polacy bardzo dobrze trzymają o losie tych stron, gdyż rozsiani początkowo po całej Brazylii — coraz więcej garną się do Parany. W ostatnich czasach spory poczet rodzin polskich wyemigrował tu z Santa-Cathariny. Bez wątpienia, ciężkie, niezmiernie ciężkie

są warunki dla kolonisty, który do Brazylii przybył bez grosza, ale gdzież jest dziś gołemu łatwo? Kolonizacya nasza w Ameryce południowej — na ogół — nie udała się w zupełności. A nie udała się dlatego, że emigracya rzuciła się do Brazylii naoślep, nie mając ani organizacyi własnej, ani żadnych wiadomości o kraju. Około 50.000 Polaków wyemigrowało do Brazylii, a czyliż choć jedna z partyj miała swych delegatów, niezbędnych do zbadania kraju i warunków gospodarki miejscowej?

Do jakiego stopnia lud nasz, wynosząc się z ojczystego kraju, zawiązane miał oczy, da o tem niejakie wyobrażenie opowiadanie, jakie słyszałem w Bahja z ust konsula rosyjskiego, p. Duyer'a. Dowiedziałem się niespodzianie o istnieniu kolonii polskiej aż na brzegach Amazonki w Manaus. W początkach r. 1891 przyjechała partya naszych emigrantów do Rio de Janeiro z Bremen i zostawała jakiś czas na wyspie Flores. Większość ludzi zapisała się na wyjazd do Rio-Grande-do-Sul i Parany, ale 30 rodzin, zbuntowanych przez jakiegoś nieuka, zbiega z gimnazyum, zapalonego wielbiciela romansów Mayne-Reada, oświadczyło się z chęcią wyjechania do Manaus. Daremnie urzędnicy perswadowali nieborakom przez tłómacza, że Manaus leży pod równikiem, że okolice pod Amazonką stanowią jeden olbrzymi las dziewiczy, w którym nic nie ma oprócz indyan i jaguarów, i że połowa ich wymrze od upałów i żółtej febry. Nic nie pomogło. Podejrzliwi chłopi upierali się tem zacięciej, im więcej odradzano im tę podróż. Istotnie zostali wysłani do Manaus... Epilog tego zdarzenia znany mi jest z innych już źródeł. Wracając do kraju, spotkałem w Bahii dwie kobiety okryte ranami i ledwie żywe. Opowiedziały mi one, że przyjechały do Bahii z Manaus przez Para i że przepowiednia urzędnika sprawdziła się najzupełniej. W dwóch pierwszych miesiącach prawie wszystkie dzieci z tej partyi wymarły od żółtej febry; reszta ludzi rozprószyła się, gdzie kto mógł, 4 rodziny żyją dotychczas w Para.

Słowem, gdyby polscy koloniści po przybyciu do Brazylii wiedzieli, że trzeba wszystkim udawać się do Parany, aklimatyzacya nie zabrałaby im z pewnością tylu ofiar. Jeżeli Brazylia posiada odpowiednie warunki klimatyczne dla naszej kolonizacyi, to w każdym razie nie cała, tylko bardzo drobna, nieznaczna jej część. Do tej części należy niewątpliwie kraina nad brzegami Iguassu w Paranie i płaskowzgórza w Rio-Grande-do-Sul.

Konstanty Siemiradzki.

Korespondencye.

O Polakach w Budapeszcie.

Dawno już miałem zamiar położenia na stole redakcyjnym „Przeglądu“, — niniejszego artykułu, omawiającego ogólnikowo stosunki i warunki życia Polaków w Budapeszcie, z prośbą naturalnie o jego umieszczenie.

Zawsze byłem i po dziś dzień jestem tego zdania, że gdziebądź Polacy na obczyźnie się osiedlają, gdziebądź się grupują, — w strony te baczne oko całego kraju zwróconem być powinno, ile że, gdzie mniej silne liczebnie grupy rodaków naszych się osiedlają, tam niebezpieczeństwo jest większe, bo osiedlający się w obcym dla siebie kraju lub mieście w krótkim stosunkowo czasie, stają się obojętnymi dla spraw ojczystych i narodowych, a w końcu wynaradawiając się, giną bezpowrotnie, ze szkodą dla narodu naszego i jego przyszłości. Wyprawa Dra Dunikowskiego do Ameryki, wielkie przyniosła zaiste korzyści w moralnem ich znaczeniu. Raz, że poznał czcigodny delegat, a za jego sprawą i Polska cała, brać naszą po za oceanem, jej dążenia, cele i prace patryotycznym na wskróś ożywione duchem, a powtóre, że odwiedziny Dra Dunikowskiego skutecznie niewątpliwie oddziałały na ożywienie myśli tych mas i grup rodaków naszych „W czwartej dzielnicy Polski“.

Kiedym czytał te sprawozdania z wizyt i przyjęć Dra Dunikowskiego w „Przeglądzie Emigracyjnym“ serce się unosiło i radowało na chwilę, lecz wkrótce ścisnęło się i zabolało niepomiernie z żalu na samą myśl, że ekskursye takie w widokach właśnie „przyszłości“ sprawy naszej wspólnej — bo narodowej — nie odbywają się częściej i chociażby w mniej od kraju naszego odległe państwa i miasta europejskie. Gdzież więc dziś nas już nie ma? Gdzież się nie łączym dziś w grupy lub gdzie się nie wynaradawiamy? Wśród milionów naszych rodaków na tułaczce nieszczęsnej, życie swe prowadzić zmuszonych, zaledwie skromny ich bardzo procent — zaledwie nieliczna jednostka z tych mas narodu — pomne swych obywatelskich obowiązków starają się skupiać w grupy lub łączyć między sobą, celem podtrzymania odrębności narodowej.

Smutny objaw zresztą separatyzmu klas i stanów wsród Polaków, jest wszędzie jeszcze widocznym, a na obczyźnie jeszcze bardziej wyrazistym, — zgubnym on jest dla kraju i narodu, który pierwej czy później, gdy szczęśliwsza dlań na zegarze dziejów wybije godzina — szukać będzie musiał każdej jednostki, bo od każdego syna ojczyzny będzie miał prawo usług obywatelskich w danym razie wymagać.

Z tego to względu w widokach na przyszłość życie Polonii na obczyźnie, powinno być przez kraj baczniej śledzonem; z tego to względu i na istniejące na obczyźnie stowarzyszenia polskie, kraj, a względnie społeczeństwo polskie, jako na tymczasowe posełstwa swoje zwracać powinny swą uwagę i otaczać je macierzyńską opieką, — czyli z moralną i materyalną — póki czas — przychodzić tym stowarzyszeniom radą i pomocą.

Dzisiaj — niestety — kiedy miliony naszych braci w rozprószeniu żyć musi na całej kuli ziemskiej, — dziś powtarzam — usprawiedliwionem wydaje mi się zdanie nieodżałowanego naszego lirnika mazowieckiego: **„Ojczyzna nasza tam gdzie się w jej imieniu zbieramy“**. Na te więc grupy, związki i stowaszyszenia narodowe na obczyźnie, do których tak przemawiał Lenartowicz, jako na przystanie narodowe Polaków na obczyźnie, na te drobne na pozór zakątki, w których stowarzyszenia dla dobra sprawy polskiej łączą się i pracują, powinienby patryotyczny kraj nasz i obywatele jego, jakoludzie zacnej myśli i woli, skierować swój wzrok i serce.

Do takich zakątków na obcej ziemi, zawitać powinienby od czasu do czasu patryota-polak, tam do rodaków przemówić, tam po bratersku rękę tułaczom uścisnąć, rozgrzać im serca, do myśli głębszej zachęcić,

do pracy pobudzić, do łączności namówić, a do służby dla ojczyzny starać się nawołać! Takie wizyty jak prof. Dunikowskiego w Ameryce, przydałyby się w interesie naszej sprawy i w Europie, podniosłyby i pokrzepiły ducha grup i stowarzyszeń naszych narodowych, w Wiedniu, Berlinie, Dreźnie, Budapeszcie, Zurichu, wreszcie Sofii, Bukareszcie, Jassach i in. wielu miastach na europejskiem lądzie.

Sądzić należy, że społeczeństwo polskie zrozumie wkrótce doniosłość powyższego zdania, a „Przegląd Emigr.“ zaś ze swej strony, jako organ emigracyi, z obowiązku swego posłannictwa tę sprawę poruszyć i rozwinąć zechce należycie.

Zanim powrócę do stowarzyszenia polskiego u nas funkcyonującego, chciałbym poprzednio wspomnieć w ogólności o Polakach, zamieszkujących w Budapeszcie, o ich życiu, stosunkach i warunkach, w jakich oni tu oddychać są zmuszeni.

Według ostatniego spisu ludności, odbytego w 1891 r., zamieszkuje w stolicy Węgier, przeszło 2.500 Polaków, nie zawsze używających w rodzinnem i domowem ich pożyciu naszej mowy, aleć znających język polski dokładnie. Kobiet jest bardzo nie wiele. Liczbę wyżej wskazaną wypełniają prawie mężczyźni. Cyfra mieszkańców Polaków, podana wyżej, zwiększa się co roku, podczas lata, ile że na „roboty“ przy murarce, w cegielniach i do młynów, zjeżdża liczny dosyć kontyngens rodaków naszych — przeważnie z Galicyi — i czasowo tylko w charakterze codziennych zarobników pracuje w fabrykach a nie rzadko i przy dunajowej żegludze. Dokładna cyfra tych przybyszów, nie ujęta statystycznemi danymi, nie może być znaną nikomu. Ci przybysze z klasy ludu naszego, zajęci zarobkowaniem na kawałek powszedniego chleba, zlewają się zaraz z grupami słowaków, tu na robotach przebywającymi i tworzą jedną masę ludu roboczego, która po skończonym sezonie rozprasza się zwykle, i tak jedni jak drudzy, czy to słowacy czy Polacy, opuszczają Peszt, rozchodząc się do własnych domostw i osad. Ruch budowlany w Peszcie wzmaga się rok rocznie, stąd i potrzeba robotnika wielka; — murarze zaś stosunkowo dobrze tu są płaceni, co stanowi zachętę dla przybysza usprawiedliwioną (przeciętna płaca dzienna murarza 2—3 zł). Że zaś słowak po większej części tylko zajmuje się murarką i przy budowlach pracuje, nadto, że węgierskiego języka unika, bo go nienawidzi, a zaś z Polakiem najlepiej się porozumić może, przeto nic naturalniejszego, że braki sił roboczych przy budowie uzupełniają tu chętnie przybyłym „na robotę“ z granic naszej Polski ludem, który i harmonizuje i zgodnie ze słowakiem pracować nawykł.

Są tu jednak setki przybyszów, wprawdzie dość liczne, ale tylko czasowo na gruncie tutejszym pracujące i dla nich notatka ta wystarczy. Żyją oni między sobą, lub też między słowakami, utrzymują się skromnie, a opuszczają Peszt „po robocie“, często z oszczędzonym groszem, ale bynajmniej nie troszczą się o to, co pod względem politycznym najbliższy dzień przyniósłby mógł Polsce.

Inny zachodzi stosunek, gdy wspomnę o **Polonii**, o tych dwóch tysiącach dusz polskich, zamieszkałych w Budapeszcie, o których wspomina statystyka urzędowa. Są to Polacy mniej lub więcej stale, a raczej dłuższy czas przeżywający w stolicy kraju. W tej liczbie też znajduje się kilkaset uobywatelnionych już takich, dla których Węgry stały się drugą ojczyzną. A choć i ci przekonani są, że kraj ten nowy dla nich, to nie **matka** ojczyzna, ale **macocha** przybrana, bynajmniej nie pobłażliwa wobec **pasierba**, to jednak konieczność niejednego z naszych zmusza do przyjęcia poddaństwa węgierskiego, bądź to dla stanowiska, jakie w państwowej służbie zajmuje, bądź dla zawodowej pracy jaką obrał, bądź dla przemysłu, jaki prowadzi, lub wreszcie i dla rodzinnych czy familijnych względów, które go do tego kroku zmuszały. Do takich zaliczyć trzeba przemysłowców zamieszkałych w Budapeszcie od kilku dziesiątków lat, dalej profesorów gimnazyalnych, inżynierów i architektów, kupców niektórych i rękodzielników. Większa jednak liczba żyje tu dzięki Bogu czasowo tylko, z myślą, że jeżeli nie uda się im powrócić tak prędko do kraju, to przynajmniej, że powędruje dalej w celach nauki czy dalszych studyów w zawodzie obranym lub w celach wreszcie sfruktyfikowania korzystniejszego swojej fachowej wiedzy.

Dużo też rzeczywiście rodaków naszych powraca do kraju, ogromna drożyzna panująca w stolicy, a ostry i nieznośny dla każdego organizmu — klimat Budapesztu, wypędza wielu naszych rodaków ze stolicy prędzej, niżby sami może o ucieczce pomyśleli. Nie wielu mniej jest jednak i takich, obarczonych już rodziną liczniejszą Polaków, przed którymi lata biegną szybko, czas niepostrzeżenie ulata — nadzieja powrotu do kraju zawodzi, a widoki zmiany miejsca życia na lepsze coraz bardziej się oddalają, rezultatem zaś smutnych tych doświadczeń jest, że nasi biedni Polacy, codziennie więcej oswajają się z trybem i warunkami tutejszego życia, i toną w labiryncie obcych sobie żywiołów, zatracając codziennie po szczypcie najpiękniejszych cech charakteru swego narodowego. Konieczność życia i egzystencyi osobistej zniewala ich do tego „gnuśnienia“ na obczyźnie, stają się pod wpływem i wrażeniem tej **konieczności** wkrótce obojętnymi i apatyą dotkniętymi ludźmi, a w walce z losem swoim i codziennym borykaniem się o chleb powszedni, nie zadają sobie nawet pytania, czy dziś ich ojczyzną Polska czy Węgry. Jako **Polacy** przestają żyć myślą polityczną w kierunku swojej narodowości lub ojczyzny, a jako **tubylcy z musu** nie mają wiele ochoty do entuzyazmowania się na rzecz warunków ich bytu, w **„pseudo-wolnym“** Budapeszcie.

Pływają więc między „Scyllą a Charybdą“ i oto bezwiednie prawie stają się z czasem, utraconym i dla spraw narodu naszego czynnikami, bo zbyt wcześnie już warunki tutejszego życia znieczuliły ich, dla wszelkiej sprawy patryotycznej.

Służba państwowa u nas pragnie widzieć w Polaku węgra urzędnika, nie zna go zaś jako Polaka i zabija w nim każde uczucie patryotyczne. Do tej kategoryi zaliczyć trzeba u nas profesorów gimnazyalnych, inżynierów zatrudnionych w biurach kolejowych i architektów pozostających w służbie miejskiej. Ci są wprawdzie nie tak liczni, alеć to reprezentanci inteligentnej warstwy społecznej naszego narodu, i oni też wieleby mogli uczynić dla dobra naszej sprawy, a względnie Polonii tutejszej, gdyby

im tego nie zabraniała, owa nieszczęsna, a źle przez nich samych pojęta „Staatsidee“.

Kupcy i przemysłowcy tutejsi, polskiego pochodzenia i narodowości, już to z natury zawodowej pracy swojej, w całodziennym a wyłącznym niejako muszą pozostawać kontakcie z węgierską publicznością — dom prowadzą zwykle na sposób węgierski; ich rodziny w duchu węgierskim kształcone i wychowywane, oto przyczyny, że i oni sami częściej i prędzej po polsku mówić zapominają, niż po węgiersku zdolni się nauczyć. Rękodzielnicy zaś, których najwięcej dostarcza nam Galicya, ściągają najliczniej do Budapesztu, przeważnie dla próbki, dla chwilowego zarobku, jednak pod wpływem, nadto optymistycznie na ich umysł oddziaływającego przekonania, jakie kraj nasz o przyjaznym dla nas usposobieniu Węgrów i bezgranicznej ich niby dla nas życzliwości posiada. Rękodzielnicy nasi nie znają i nie uczą się węgierskiego języka, posiłkują się niemieckim idiomem w rozmowie ze swymi przełożonymi lub pracodawcami, a między sobą zaś w pożyciu koleżeńskiem, na chwałę im to przyznać trzeba — pielęgnują z całym zapałem ojczysty język polski.

Rękodzielnicy nasi krótko tu zazwyczaj przebywają, zimują najczęściej w stolicy, a skoro wiosenne zagrzeje słonko, wędrują dalej i gdzie los lub dobra wiara we własne siły ich popchnie, tam znowu popasają. Niektórzy z nich zawodowo wykształceni gruntowniej, przemieszkują tu latami całemi, choć stosunkowo też i za pracę swoją dobre znajdują tu wynagrodzenie. Ogólnie biorąc polskiego robotnika chwalą Węgrzy, a rzadkim nawet jest wypadek, ażeby ten lub ów przyjezdny, z rękodzielniczych warstw naszego narodu, naturalnie fachowo uzdolniony, a wydoskonalony w swym zawodzie, nie miał uzyskać mniej lub więcej dlań korzystnego zajęcia w fabrykach i zakładach tutejszych, nawet na razie.

Najsmutniejszym znamieniem jednakże życia tutejszej Polonii, ogólnie je biorąc, jest to, że mało Polaków skupia się tu w celu jakiejś pracy zbiorowej dla dobra sprawy wspólnej około stowarzyszenia tutejszego, a powtóre, że małżeństwa mięszane są zbyt liczne, dzieci zaś **Polaków** stanowczo i systematycznie wynaradawia nam szkoła węgierska bez względu na to, że rodzice tych dzieci po większej części nie są poddanymi państwa węgierskiego, ani tu przynależnymi do jakiejbądź gminy, co sprawia, że i **dzieci** tych rodaków naszych pierwej czy później, zależy to od humoru ustaw, od usposobienia chwili, lub wreszcie od śmierci czy warunków materyalnych danej familii, mogą być, wszelako **wynarodowione** już za przyczyną szkoły, odstawione przez władze tutejsze do kraju lub gminy, do której rodzice ich przynależni lub zapisani byli w jakich registrach i de **jure** dotychczas figurują.

Szkoły więc i kościoła, tych dwóch podwalin niezbędnych dla narodowego wychowania pokolenia naszego, brakuje nam wszędzie na obczyźnie, a więc i Polonii w Budapeszcie.

Dziecko nasze każde, choćby jego ojciec czy matka nawet byli Polakami, musi już w szóstym roku życia oddane być do szkoły węgierskiej, która je naturalnie wynaradawia. To dziecko z biegiem czasu wynaradawia znowu rodziców własnych.

Niesłychane na pozór może zjawisko, ale przykłady mieliśmy już tutaj takie: rodzice dziecka, Polacy z rodu, zarobkujacy na kawałek chleba w Budapeszcie, nie mając czasu zająć się wychowaniem i wykształceniem dziecka, powierzyli je szkolnej opiece, dziecko zapominało po polsku a nawykało do węgierskiego języka, w końcu i **rodzice** nie mogąc inaczej porozumiewać się z dzieckiem własnem, czy to synem czy córką, ani przełamać ich węgierskiego języka, sami przełamali swój — i oto ich własne dziecko uczyło je mówić po węgiersku, a wreszcie tak rodziców z tym językiem oswoiło, że małżonkowie **Polacy** rozmawiali i ze sobą po **węgiersku**, zapominając coraz więcej polskiej swej mowy rodzinnej.

Wobec tego cóż dopiero mówić o dzieciach, których rodzice należą do dwóch narodowości. W takich wypadkach ojciec **Polak** powierza zwykle dziecko opiece matki **nie polki**. Matka zaś **Polka** napróżno stara się przekonać ojca **węgra** lub wreszcie **nie polaka**, o chęciach swych w kierunku oswojenia dzieci z **polską** mową. Tak w pierwszym jak i w drugim przykładzie rezultatem jest u nas najsmutniejszym, choć zwykłym, że dzieci nasze wynaradawiają się kompletnie, i to od samego ich dzieciństwa.

Któż temu ma zaradzać, kto temu tamę kłaść, i kto starać się ma o to, aby to zło w interesie naszej sprawy naprawiać, i to póki czas a skutecznie? — Zdawałoby się, że stowarzyszenia **polskie** na obczyźnie powinnyby choć w części to zadanie spełniać; one bowiem jako korporacye powołane byłyby do tego, ażeby czuwać nad duchem i dobrem przyszłych pokoleń Polaków, zrodzonych na obcej ziemi. Kraj zaś nasz i rozumnie a politycznie żyjące społeczeństwo nasze, powinnoby prowadzić kontrolę nad programem narodowym działań i pracy takich stowarzyszeń, które na obczyźnie pod mianem stowarzyszeń narodowych, stoją na straży ducha naszej tułaczej drużyny i jej dzieci po za krajem zrodzonych.

Nie uprzedzony Polak, przyznać mi zechce, że każde stowarzyszenie polskie na obczyźnie w tym kierunku wielkie mogłoby Ojczyźnie naszej oddać usługi — już z samego założenia i stanowiska, jakie wobec sprawy narodowej zajmować powinno. Program działań jednak i pracy takich stowarzyszeń powinien być **jednolitym**. Reformy w tym względzie dałyby się w prowadzić jednakże tylko wtenczas, kiedyby kraj nasz życzliwszem okiem spoglądał na stowarzyszenia polskie **pozakrajowe**, i tam, gdzie potrzeba, im chciał dopomódz lub poradzić, spiesznie a serdecznie, po bratersku.

W jednym liście projektu takiego nie można rozwinąć ani dostatecznie rozwałkować ani go też omówić, potrzeba by na to szpalt kilkunastu a może i kilku num. *Przeglądu Emigr.* — tu rzucam tylko dziś myśl samą, która, — pod pióro *„volens nolens“* się ciśnie, gdy się z bolem w sercu patrzy na straty, jakie ponosi naród nasz dokoła przez wynaradawianie się całych mas naszej braci tułaczej na obczyźnie.

I w Budapeszcie mamy od lat 27 **„stowarzyszenie Polaków“** i ono ma swoje piękne cele narodowe, i ono posiada pięknie zapisane karty w historyi swych działań i czynów patryotycznych pośrednio lub bezpośrednio dla Ojczyzny i sławy jej imienia spełnionych! Aleć i to stowarzyszenie własnym siłom i środ-

kom pozostawione nie może się rozwijać, nie może tak skutecznie funkcyonować ni wewnątrz, ni zewnątrz, ażeby z potrzebną siłą przeciwdziałać moralnie lub materyalnie w wypadkach gdzie tego wymagałaby potrzeba, ze względu na „jutro“ narodowe..

Nigdzie może tak prędko Polacy się nie wynaradawiają jak na Węgrzech i w Budapeszcie. Czemu to przypisać; — nie wiem, — to pewna, że z faktem tym liczyć się potrzeba. Stowarzyszenie Polaków robi co może — często nad siły swoje do pracy się bierze, aby tylko pobudzać i ożywiać ducha narodowego wśród Polaków, ale i w nim potrzebną byłaby szkoła polska, w **własnym** lokalu, gdzieby, bez trwogi rodziców, — ich dziecię do tej szkółki uczęszczać mogło, ale i to stowarzyszenie potrzebowałoby siedziby własnej, gdzieby pod jej dachem skupiała się cała **Polonia** rozproszona dzisiaj — a najlepsze jej siły intellektualne zestrzeliwały się i zespalały w jedno ciało, któreby żyć mogło dla Polski, a oddychało powietrzem ożywczej nadziei co do jej przyszłości. —

Chęci nie brak nam bynajmniej, serc mamy dosyć i żywo czujących i silnie bijących, — nie brak planów, idei, pomysłów i myśli — w kierunku rozwoju stowarzyszenia stawianych, nie zbywa nam także jako instytucyi narodowej na sympatyi i życzliwości narodu węgierskiego, który usiłowaniom naszym w **drugim** rzędzie, użyczyłby niewątpliwie swego szczerego poparcia; ależ w **pierwszym** rzędzie potrzebujemy zaufania i poparcia ze strony kraju i tych dobrych obywateli patryotów, którzy jako rodacy powinniby każdemu stowarzyszeniu na obczyźnie dodać otuchy do pracy i swej rady światłej użyczeć tej drużynie tułaczej, która oczy swe i serca nawet w najcięższej dobie życia swego na obczyźnie, z uczuciem miłości prawdziwej zwraca w stronę ukochanej nad wszelki wyraz Polski.. *Pobóg.*

Rozmaitości.

— **O Polakach na Bukowinie.** Otrzymaliśmy krótką ale pouczającą wzmiankę łaskawie nam nadełaną. Umieszczamy ją dosłownie.

Szanowna Redakcyo! Na zaszczytną propozycyę mam zaszczyt donieść:

Chcąc o tutejszych stosunkach mieszkańców polskich pisać, potrzeba na to dokładnej znajomości i czasu, czem pochwalić się nie mogę. Jestem tutaj kilka lat dopiero — parafia wielka (3500), absolutnie jest niemożebnem wydalać się by zbadać w innych stronach stosunki. Wiem tyle — że Polacy — zwani tutaj „Słowakami“, przed 50 laty już byli — trudnią się gospodarstwem i są między nimi rzemieślnicy, trzymają się swej religii, rozmawiają po polsku, znając równocześnie język tej narodowości, z którą się stykają tj. po rusku, trochę po niemiecku i po rumuńsku. — Praca nasza tj. kapłanów wielka, bo odpowiadamy wobec Boga i Ojczyzny. Jest ona cicha, ale czy nie najskuteczniejsza. Okropny błąd popełnił jakiś korespondent umieszczając w „Przeglądzie“ swe sprawozdanie o stosunkach polskich na Bukowinie. Popsuł wiele — tak niski cel np. przy zakupowaniu dóbr — podstawiać, to tylko godne innego narodu. My księża to jak krety — robimy swoje — a kiedyś spulchniona ta ziemia serc ludzkich — wyda hojny owoc. Mógłbym coś napisać o moich Polakach tutejszej parafii — ale to malutki by był przyczynek do ogólnych stosunków polskich na Bukowinie. Zatem proszę mi wybaczyć i uwzględnić to moje położenie — i niespodziewać się obszerniejszej korespondencyi.

W tym czasie są zwrócone oczy na Amerykę — jedni jadą, by się tam osiedlić — drudzy by ich ratować! Żal mi tego ludu — zadaleko od Ojczyzny — czemu nie zwrócą uwagi na Bukowinę? Tutaj jest dosyć ziemi — np, w mej parafii w Dawidenach — cały folwark parcelują: i tak za 1 falszę 120, 200 i 300 złr. żądają (1 falsza = 2 morgom) — można żyć — zarobek jest.

Z czasem i to nastąpi — że nas tutaj więcej będzie.

Z poważaniem ks. *Puchała.*

— **Powodzenie Polaków na obczyźnie.** We Francyi na ostatnich elekcyach departamentowych (des membres des conseils généraux) dnia 12 lutego wybrany został w Departamencie de *Maine et Loire*, w zachodniej Francyi nasz rodan znakomity Doktor, *Michałowicz Edgar*, który mieszka w małem mieście zwanym *Parçay*, gdzie jest bardzo kochany i poważany. Nasz rodak przedstawił się do wyborów jako Republikanin i otrzymał w kantonie 1597 głosów, co oddaliło od Rady departamentowej innego konkurenta, który się ogłaszał partyzantem restauracyi monarchicznej. Jestto jedno miejsce nowo otrzymane przez przyjaciół Rzeczypospolitej w tym departamencie.

W senacie Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki Prezydującym obrano Senatora Pratt amerykanina, a sekretarzem Senatora K r u s z k ę, polaka. *J. Malinowski.*

— **Wynalazek Polaka.** W tych dniach otrzymał patent z Washingtonu p. Ed. P a r t y k a *w Buffalo*, N. Y. na swój wynalazek — na przyrząd do **gięcia żelaza** i i wszystkich metali. Przyrząd ten zwie się urzędownie „Metal Bending Machine“. Pan Partyka miał już parę kupców na ten patent, ale jeszcze go nikomu nie odstąpił. P. Partyka jest furmanem w wielkiej fabryce żelaznej firmy „Kellog Iron Works“, która zatrudnia około 100 robotników. Dzięki p. Partyce połowę robotników stanowią Polacy. Że p. P. cieszy się szacunkiem i uznaniem towarzyszy najlepszym tego dowodem jest cenny pierścień, który zdobi pracowitą rękę p. P., a który otrzymał „na gwiazdkę“ od swych kolegów i podwładnych. *Echo.*

— **„Klub pomnika Kościuszki“.** Polscy policyanci w C h i c a g o zawiązali pomiędzy sobą „Klub pomnika Kościuszki“, którego celem będzie pomagać Tow. budowy pomnika w zbieraniu ofiar i w ogóle urządzać zabawy na cele dobroczynne. Na posiedzeniu odbytem d. 26. stycznia został obrany następujący zarząd klubu: Józef Polczyński, prezydent, Fr. Aranowski wiceprezydent, Stef. Muchowski sekretarz protokułowy, Jakób Tamiłło sekretarz finansowy, Ludwik Król kasyer — oraz Fr. Kubicki, T. Różański, Ł. Kallas i Fr. Pieniarski, opiekunowie kasy. Na temże posiedzeniu „Klub“ uchwalił urządzić dnia 16. kwietnia r. b. wielki bal w Hali Schoenhofena, z którego dochód będzie przeznaczony na budowę pomnika Kościuszki. Obstalowano 5.000 biletów, które dzielni nasi policyanci chcą do jednego rozprzedać, aby uzyskać najmniej 1.500 dol. dochodu.

— **W Chicago** zawiązało się *„Towarzystwo patryotyczno-naukowe Młodzieży Polskiej“*. Posiedzenia odbywają się regularnie w każdą drugą i ostatnią niedzielę miesiąca. Ma ona za cel walczyć przeciw wynaradawianiu się naszego młodego pokolenia za pomocą odczytów, wypożyczania książek, urządzania czytelni, zebrań towarzyskich i t. p. Ogłasza ono odezwy, z których ostatnia jest z 23. stycznia, podpisana przez sekretarza Tow. P. Danisza.

W sprawie wystawy sztuki polskiej.

Do Publiczności polskiej.

Chicago Ills. 28. lutego 1893.

Wystawa powszechna, mająca się odbyć w Chicago, w roku bieżącym, przedstawiałaby dla polskich artystów malarzy i rzeźbiarzy najlepszą sposobność zbiorowego przedstawienia sztuki polskiej w osobnym oddziale, a zarazem wyrobienia na drugiej półkuli szerokiego i korzystnego rynku zbytu dla produktów pędzla i dłuta. Osobista sympatya dla tej sprawy u strony dyrektora działu sztuki na wystawie p. Ivesa, zapewniała szczere poparcie usiłowaniom artystów polskich. Przez długi czas zdawało się, że artyści nasi rzeczywiście krzątają się około tego sympatecznego, a tyle dla nich obiecującego dzieła.

P. Ives otrzymał nawet kilka nieokreślonych zapytań co do miejsca, lecz na swoje uprzejme i zachęcające pisma nie otrzymał żadnej stanowczej odpowiedzi.

Tak się przedstawiała ta sprawa do jesieni roku zeszłego, kiedy w „*Przeglądzie Emigracyjnym*" pojawił się artykuł p. St. R. Lewandowskiego, objaśniający, że trudności materyalne, a mianowicie znaczne koszta przesyłki i urządzenia wystawy, stoją na przeszkodzie artystom naszym do uskutecznienia zamierzonego dzieła. Jednocześnie p. Lewandowski, poruszył myśl zorganizowania na miejscu w Chicago, Spółki polskiej, któraby się tą sprawą mogła zająć. Inicyatywa p. Lewandowskiego została natychmiast podjętą przez grono niżej podpisanych obywateli w Chicago, którzy utworzyli Towarzystwo akcyjne, na podstawie praw stanu Illinois w celu urządzenia dzieła sztuki polskiej w Chicago i pośrednictwo w sprzedaży obrazów.

Po załatwieniu formalności prawnych Zarząd Spółki, przedsięwziął energiczne kroki w celu zapewnienia na wystawie miejsca na osobny dział sztuki polskiej i pomimo nadzwyczajnych trudności z powodu przepuszczania wszelkich terminów na podobne aplikacye i nader ograniczonego miejsca na wystawę sztuki wobec ogromnego napływu wystawców, uzyskaliśmy uroczyste zapewnienie ze strony pana Ivesa, że miejsce na oddział polski otrzymamy, bylebyśmy tylko stanowczo i nie później jak na dwa miesiące przed otwarciem wystawy złożyli deklaracyę wyszczególniającą, co mamy do wystawienia i ile potrzebujemy miejsca. Na tej zasadzie rozesłaliśmy okólnik do artystów polskich i mecenasów sztuki w kraju i zagranicą, powtórzony przez pisma polskie. Projektowaliśmy takowym utworzenia w ogniskach sztuki polskiej komitetów wybranych z łona artystów, dla wyznaczenia obrazów kwalifikujących się na wystawę i dla ekspedycyi takowych, biorąc opłatę wszelkich kosztów, przesyłki i urządzenia wystawy na siebie.

Na ten okólnik otrzymaliśmy tylko jedną ofertę w imieniu polskich artystów z Warszawy i kilka propozycyi ze strony prywatnych przedsiębiorców w handlu dziełami sztuki. Na ofertę z Warszawy wysłaliśmy telegram, prosząc o odpowiedź co do ilości potrzebnego miejsca i o szczegółowe informacye. Dotąd nie odebraliśmy żadnej odpowiedzi.

Natomiast w numerze 1 dwutygodnika „*Nasza Sztuka*" znajdujemy artykuł p. Lewandowskiego, który nam po części wyjaśnia przyczynę tej opieszałości ze strony artystów.

Podobno prywatni przedsiębiorcy, po rozpoczęciu działania przez Spółkę Chicagowską, zaczęli bałamucić artystów swemi w tymże przedmiocie propozycyami, tak, że rzecz cała, nie cierpiąca zwłoki, pozostaje dotąd w położeniu nie zdecydowanem.

Wobec takiej niezaradności i opieszałości pp. Artystów, niżej podpisani nie mogą brać na siebie odpowiedzialności za poradzenie w wykonaniu podjętej dla dobra sztuki polskiej sprawy, która tym sposobem upada, pomimo wszelkich z naszej strony usiłowań.

Termin wyjątkowo dla nas przedłożony przez dyrektora oddziału sztuki z dniem dzisiejszym kończy się, i nadal wszelkie starania o urządzenie osobnego działu sztuki polskiej na wystawie powszechnej w Chicago byłyby bezskuteczne.

Pisma polskie w krajn i zagranicą upraszamy o umieszczenie niniejszej odezwy.

Chicago dnia 28. lutego 1893.

S. F. Adalia Satalecki. M. A. Drzemała. K. S. Sawicki.
Z. Rogalski. H. Łubieński.

Przypisek Redakcyi. Odezwa ta dotyczy Wystawy wszechświatowej tegorocznej w Chicago. Mamy zaś wiadomość, że stały salon dzieł sztuki polskiej t. j. zbyt dla dzieł sztuki polskiej w Chicago, niezależnie od wystawy istnieć będzie, ta część naszego projektu niewątpliwie zostanie wykonaną.

Pokwitowanie Redakcyi z odbioru książek.

Od Dra J. Siemiradzkiego otrzymaliśmy dlu braci zamorskiej 6 książek.

Sprostowanie Redakcyi.

W dalszym ciągu jeszcze o p. **Michałowskim** otrzymaliśmy list następujący, który umieszczamy w całości.

Konstantynopol, Pera, Santa Maria, d 1. marca 1893.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wolno nam szarpać sławy bliźniego, a przecież w korespondencyi umieszczonej w roku I. Nrze 12. „Przeglądu Emigracyjnego" mógłby mnie ktoś o to posądzić, — i dlatego, abym oczyścił się z tego, wypada mi słów kilka w obronie p. Michałowskiego, przeciwko któremu nic nie mam, napisać.

Przez lat 12 pobytu mego tutejszego, tak przed założeniem Towarzystwa Polskiego jako i po jego założeniu, czy to za prezydentury p. Michałowskiego, czy też p. Morawskiego, każdego roku przemówiłem słów kilka podczas nabożeństwa żałobnego za dusze poległych braci i to w sposób kościelny, dla dobra i potrzeby dusz słuchających. Lecz chcąc ich więcej zadowolnić, prosiłem w przeszłym roku, aby tak, jak p. Michałowski, uczynił i p. Morawski, dając mi znać przed nabożeństwem żałobnem, o czem w interesie towarzystwa mam prawić.

Tymczasem zamiast tego przysłano mi wieczorem w przedwigilią nabożeństwa przemowę już gotową, którą jedynie dla dogodzenia Towarzystwu i z przyczyny wyrażonego w niej celu, który sobie wytknięto we wszystkich dzielnicach Polski, wypuszczając przecież wszystkie te miejsca, które mogły kogoś drażnić i nie stosowały się dla kaznodziei kościelnego i kościoła, przeczytałem. Opuściłem więc i to, co miało się tyczyć p. Michałowskiego, bo nie chciałem go ani domyślnie dotykać, żyje bowiem po chrześcijańsku i dzieci po temu wychowuje. Jeżeli zaś wystąpił z Towarzystwa, nikt go o to winić nie ma prawa, bo i inni członkowie występowali i występują, ani o przyczynę wystąpienia, bo może ta jest mylną, która się podaje, ani o to, że założył nowe towarzystwo, bo i ono może mieć cel dobry.

Proszę więc ułagodzić temi mojemi słowy korespondencyą Nru 12. R. I. „Przeglądu Emigr., a zarazem przyjąć wyraz etc.

O. Mikołaj Kiefer,
Reformat, Misyonarz, Apost. Proboszcz.

INSERATY.

Związek Narodowy Polski

w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki.

Biuro Zarządu Centralnego oraz redakcya i drukarnia „Zgody“
574 Noble str. Chicago Ill.

Zarząd Związku Narodowego Polskiego.

W. O. Przybyszewski, cenzor, 308 — 12th. St. Bay City Mich.
T. M. Heliński, wicecenzor, 1. E. Superior St. Duluth Min.
S. F. Adalia Satalecki, prezydent, 855 S. Ashland ave: Chicago Ill.
St. Słomiński, wiceprezydent, 679, Milwaukee ave: Chi-Chicago Ill
A. Małłek, sekretarz jeneralny, 574 Noble str. Chicago Ill.
St. Pliszka, wicesekretarz jeneralny, Englewood. Chicago Ill.
M. Majewski, kasyer, 779 Millwaukee ave. Chicago Ill.

Skarb Narodowy Polski w Millwaukee Wis.

po opieką Związku Nar. Polskiego

K. Małłek, prezydent, 8th. ave. C. Becher st. Milwaukee Wis
W. Piotrowski, kasyer, 350 Millwaukee st. Milwaukee Wis.
F. Drozniakiewicz, sekretarz, 780—3nd. ave Milwaukee Wisconsin.

Wszelkie korespondencye i przesyłki pieniężne na rzecz Skarbu Narodowego Polskiego, należy przesyłać pod adresem sekretarza.

Pod opieką Związku narod. Polskiego znajduje się też

Biblioteka i Muzeum narodowe

574 Noble ulica w Chicago Ill.

Zarząd:

St. Kociemski, prezydent, 240 W. Tayloz. Chicago Ill.
Dr. K. Midowicz, wiceprezydent, 204 W. Chicago ave, Chicago Ill.
A. Koiński, sekretarz. 204 W. Chicago ave, Chicago Ill.
W. Bardoński, kasyer, 368 Nobl., Chicago Ill.
Dr. H. Kałussowski, dyrektor, 911 Z. ulica N. W., Washington D. C.
H. E. Kołussowski, dyrektor, 911 Z. ulica N. W., Washington D. C.
A. Błaszczyński, dyrektor, 648 W. 17, Chicago Ill.
M. Drzymała, „ 1256 N. Halsted, Chicago Ill.
G. Pulkowski. „ 817 Milwaukee ave, „
H. Sawicka, bibliotekarz, 574 Noble ulica, „

Pod tym adresem należy wysyłać korespondencye, dotyczące biblioteki i muzeum.

Upraszamy o odnowienie prenumeraty i o poparcie tem samem naszego pisma, którego pożyteczność zdaje się być niewątpliwą. Przez to, jako też i przez namawianie do prenumeraty łaskawi czytelnicy najskuteczniej przyczynią się do urzeczywistnienia celów, które sobie wytknęliśmy i z których najbliższym byłby utworzenie biura wywiadowczego.

TREŚĆ. Świadomość polska w czwartej dzielnicy. — Pozostłaość brazylijska nap. Konst. Siemiradzki — Korespondencya z Budapesztu nap. Pobóg. Rozmaitości. — W sprawie wystawy sztuki polskiej (Odezwa z Chicago). — Pokwitowanie Redakcyi — Sprostowanie Redakcyi. — Ogłoszenia.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny **Bogumił Sternad.** Z I. Związkowej Drukarni we Lwowie.